Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 13 Czérwca | Nᴇʀ 9. | 1838 Roku.

AKT PIĄTY.
DRAMAT W JEDNYM AKCIE.
PRZEZ J. K.

(DOKOŃCZENIE.)

SCENA IV.
(*Miészkanie Wacława.*)

ELIZA (*sama.*)

Już siódma; — miasto budzić się zaczyna po śnie i odpoczynku do trosk i pracy. — Ja tylko nié mogłam snu przywołać. — Wraz z pokojem duszy, z czystością myśli, zniknął, uleciał. — I robota nie idzie; — rwie się nitka, igła błąka się jak w ręku pięcioletniéj dziewczynki: (*odchodzi od okna i rzuca robotę;*) gdzież Wacław? Zaledwie odprowadził mię do drzwi, odszedł nie ścisnąwszy za rękę, nie rzekłszy słowa. — Czy mi się marzyło, że go Henryk przyzywał? — dawniéj, gdyśmy z jakiéj zabawy wracali, z takiém upodobaniem opisywał mój ubior, moje powodzenie, mój taniec. — Bo dawniéj śledził mię okiem miłości; dziś, ah! dziś ja na nię nie zasługuję. — Mogąż te uczucia szacunku i przyjaźni, jakie jeszcze w sercu mojém dla niego zostały, zastąpić miejsce miłości, jakiéj mu potrzeba, i do jakiéj ma prawo? — Boże! zmiłuj się nademną. — Tu powinność, tam niepojęty powab ciągnie moje myśli. — Ale już się stało. — Dzięki Ci Boże, żem się zdobyła na tyle siły! — zerwany ten łańcuch kwiecisty, rozdarta czarująca zasłona, przez którą grzéch i występek nabywały powabu niewinności. — Obaczyłam ich szkaradne oblicze i odwróciłam oczy — na wieki. O! przychodź Wacławie! przychodź mój mężu! odbierz ślub powtórny przywiązania i wiary od żony nawróconéj, — (*slucha*) — idzie, dawno z taką radością nie witałam przybywającego. — Dawne wrażenia wracają, może i dawniéjszy pokój zawita pod ten dach cichy, i dawniéjsze szczęście progi te przestąpi: — To nie on!

(*Doktor wchodzi, siada zmordowany.*)

ELIZA.

Dzień dobry ci, kochany

doktorze; czemużeś tak zmęczony?

DOKTOR.

Już dwa razy byłem pode drzwiami waszémi; jeszcze nie wrócił?

ELIZA.

Wacław?

DOKTOR.

O kogoż mógłbym się pytać?

ELIZA (*schylając oczy.*)

Odprowadził mię do domu, sam odszedł nie wiém dokąd.

DOKTOR.

I tak cierpliwie go czekasz?

ELIZA.

Mamże przyczynę bydź niespokojną?

DOKTOR.

Maszże prawo bydź spokojną? — wiészże ile jedna chwila może zasiać niedoli?

ELIZA.

Przestraszasz mię; wiedziałżebyś co?

DOKTOR.

Możeszże powiedziéć, że nic nie wiész?

ELIZA.

Tak jest, w rzeczy samej, zdaje mi się, żem słyszała, wtenczas, gdy mi się słabo zrobiło, tam, gdyś był przy mnie, że go Hrabia wzywał do siebie.

DOKTOR.

Otoż to są skutki igrania z obowiązkami, których surowa świętość powinna wrażać uszanowanie. — Życie, moja Pani, jestto świątynia, w któréj bóztwo zawsze obecne nie ciérpi obrazy. — Twój mąż nie wraca, i każda sekunda wydaje mi się coraz dłuższą, coraz nieznośniéjszą.

ELIZA (*porywa na siebie chustkę.*)

Bądź zdrów doktorze.

DOKTOR.

Dokąd?

ELIZA.

Pytasz mię? — Okrutni! Także to wam łatwo rozedrzéć serce kobiéty!

DOKTOR.

Co zamyślasz?

ELIZA.

Rzucić się między ich oręże, przez te piersi niech ich żelazo przechodzi, nim serce któregokolwiek z nich dosięgnie: — puszczaj mię!

DOKTOR.

Stój! — tam go niéma — był, ale już go niéma, powiadam ci.

ELIZA.

A gdzie on? (*Wacław wchodzi.*) Jesteś Wacławie?

(*Wacław odpycha ją zlekka od siebie i odwraca się.*)

ELIZA (*odstępuje.*)

Biada mi!

DOKTOR (*odprowadza go na stronę.*)

Miałżebyś się dopuścić jakiéj zbrodni.

WACŁAW.

Elizo!

ELIZA (*przystępując nieśmiało.*)

Mężu!

WACŁAW.

Idź pożegnaj dzieci, — za chwilę wyjeżdżamy.

ELIZA.

Dokąd?

WACŁAW.

Idź pożegnaj dzieci, — a zostaw nas. (*Eliza wychodzi płacząc.*)

DOKTOR.

Szaleńcze! wartbyś, abym cię samemu sobie zostawił!

WACŁAW.

Właśnie też sam sobie radzić zamyślam.

DOKTOR.

Żołniérz nosi przy boku oręż na obronę kraju, przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi; użyć go, wtenczas tylko ma prawo, gdy go powinność upoważnia. — Ale sztylet lub truciznę, czy na siebie, czy na drugich, nosi tylko przy sobie, — zabójca.

WACŁAW.

Więc już wiész, żem twoję szafę zbadał.—Była to myśl przelotna, dzika, — jak uczucia, które mną wtenczas miotały.—Przyjacielu mój! — dawny, jedyny, ty mię znasz i pojmujesz, że człowiek taki jak ja, nie mógł wówczas nie wpaśdź na jakieś przedsięwzięcie, pełne rospaczy. — Zamknięty w sobie, — od półroku więcéj żując i trawiąc gorycz, wśród przymusu wyrzutów i poniżenia pędząc godziny walk i niepokoju, wczoraj stanąłem u kresu. — Postrzegłem, że pierś moja wezbrana, że boleść musi z brzegów swych wylać, lub ją rozerwać. — W takiéj to chwili uzbroiłem się orężem, jak ty mówisz, zbójeckim. — Chociaż, — daruj, ja to uważam za lékarstwo,—wszak i wy go używacie. — Różnica tylko w ilości: — na chorobę ciała kilka gran mniéj, na chorobę duszy kilka gran więcéj.

DOKTOR.

Szalony!

WACŁAW.

Rzeczywiście, wówczas byłem blizkim szaleństwa; — ale uspokój się, mój dobroczyńco! już to przeszło: — przekonałem się, że jeszcze ratować się mogę, i postanowiłem chwycić się środka, o którym mi kiedyś zdaleka napomykałeś. — O! porzucam to miasto, — oddalam się, — uciekam stąd; — dokąd? — nie wiém. — Ale jak najdaléj od zgubnych ponęt, które usidłają jéj cnotę.

DOKTOR.

Dzięki niebu! to była myśl moja: — spodziéwam się, że ona

wzbraniać się nie będzie.—Wreszcie znajdą się na to sposoby.

WACŁAW.

Nie będzie; — o tém nie wątpię; — ale dzieci z sobą wziąść nié mogę. — Podróż moja musi bydź szybka, tajemna, ty jeden tylko będziesz wiedział dokąd się udam i w jakim kącie ziemi wstyd mój zagrzebię. — Potrzeba mi na to całéj przytomności umysłu i twojéj pomocy, abym się dobrze ukrył przed czujną policyą kochanka, który ma wytrwałość i pieniądze.

DOKTOR.

Dobrze mówisz: — dobrze pomyślano!

WACŁAW.

Cóż dziwnego, zazdrość bieglejszą jest jeszcze od miłości; — idzie tu o mój honor. — O szczęściu już nie mówię: — to nie dla mnie! — Ale gdy rozbicie nieuchronne, rozsądek na tém, aby ratować, co się jeszcze ratować daje, aby nie stracić wszystkiego, chcąc ocalić wszystko. — O! cobym dał za to, gdybym mógł odzyskać te chwile słodkie, kiedy wracającego po pracy do domu, witała uśmiéchem radości, przywodziła dowcipne dzieci swych słówka, pozwoliła położyć głowę na swych kolanach i tak odetchnąć, usnąć. — (*Kładzie rękę na czole.*) Był to sen, sny należą także do osnowy życia, i za nie także dziękować niebu potrzeba. — Teraz inne starania, przyjacielu, na tobie teraz wszystko polega.

DOKTOR.

Trzeba ci pieniędzy: — co mam to twoje.

WACŁAW.

Dziękuję ci; nieszczęście ma tę jednę dobrą stronę, że odkrywa serca prawdziwie przychylne. — Pieniędzy mam dosyć. — Wszakże poźniéj, gdybym musiał dłużéj zostać za granicą, udam się do ciebie.

DOKTOR.

I znajdziesz rękę moję otwartą.

WACŁAW.

Ale trzeba mi paszportu, dla nas obojga tylko i pod obcém imieniem. — Mnie nazwij jak chcesz, nié mam głowy teraz sam o tém myśléć, proszę cię tylko, abyś ją zrobił moją siostrą. — Tak łatwiéj będziemy się mogli ukryć. — Związki twoje obszérne; ty jeden dokazać tego potrafisz.

DOKTOR.

Dobrze, dobrze, wyrobię.

WACŁAW.

Ale dziś, starcze! o gdybyś ty wiedział, jak to powietrze mię dusi!

DOKTOR.

Pojmuję: — będziesz miał paszport dziś jeszcze.

WACŁAW.

Teraz jeszcze jedno dobrodziéjstwo.

DOKTOR.

Mów, co? — wszystko.

WACŁAW.

Opieka mych dzieci.

DOKTOR.

Ale to się rozumié: — będą mojémi.

WACŁAW.

Oto pełnomocnictwo dla ciebie i dla tych, których ty mianować będziesz.

DOKTOR.

Na cóż ta formalność, myśliszże wcale nie wracać?

WACŁAW.

Myślę nie wracać póty, póki trwać będzie niebezpieczeństwo. — Wreszcie, cóż można powiedziéć o jutrze? każda godzina jest nową falą, która może rozbić lub życie człowieka, lub jego pokój.

DOKTOR.

Wacławie, oddaj mi, co u mnie wziąłeś.

WACŁAW.

O gdyby mi kto oddał com utracił! — pozwól starcze, niech to lékarstwo zostanie przy mnie, nie użyję go, chyba wtenczas, gdy wszelki inny środek będzie bezskutecznym, gdy życie puste, samotne, stanie się ciężarem, przewyższającym me siły: lub wtenczas: — bo na cóż ci mam ukrywać.... — któż wié, może nas znaléźć — może mi ją porwać — uwiéźć! — wtenczas — o na BOGA! ja go znajdę.

DOKTOR.

Oddaj Wacławie!

WACŁAW.

Jeżeli pragniesz, oddam; ale patrz, oto weksel na 20,000 złł. — pokoju i szczęścia nie dostaniesz za piéniądze, ale trucizny, — wszędzie.

DOKTOR (*po chwili.*)

Wreszcie, — chociaż nie chciałbym, — ale dajesz mi słowo, że tylko w ostateczności — nie, nie i to niegodziwość.

WACŁAW.

Śpiesz starcze, — jak wrócisz, oddam ci — wyprowadzisz mię za miasto, tam ci oddam, tam bezpieczniéjszy będę, tam go niéma.

DOKTOR.

Pamiętaj; — (*wraca*) a powóz masz?

WACŁAW.

Ha, nie myślałem o tém.

DOKTOR.

Weźmiesz mój, wygodny i mocny, — weź i uciekaj, — dzieci

twych nie opuszczę; — ale będziesz pisywał często; — nieprawdaż? — czekaj, trzebaby jeszcze adres ułożyć: — to mi przyjdzie na myśl poźniéj. — Do widzenia się. (*wraca*) Wacławie, mój poczciwy Wacławie! o jakbym chciał już witać cię spokojnym, i szczęśliwym. (*odchodzi.*)

Wacław.

Spokojnym i szczęśliwym! Spokojnym mogę bydź wkrótce, szczęśliwym? — nie wiém. — Poczciwy starcze! On dzieci mych nie opuści. — (*Stawia dwa kubki na stole, — postępuje ku drzwiom*) Janie!

Jan (*wchodzi.*)

Co Pan każe?

Wacław.

Połowę tego lékarstwa wléj w którykolwiek z tych kubków, i obadwa napełnij wodą: (*oddaje flaszkę — odwraca się*) — czy już?

Jan (*spełniwszy rozkaz oddaje flaszkę*)

Już Panie.

Wacław (*opatruje flaszkę i chowa.*)

Za wiele miesięcy jesteś niezapłacony.

Jan.

Za dwa Panie.

Wacław.

Tu masz twoje zasługi: — idź teraz na pocztę i zamów mi konie.

Jan.

Czy Pan mię z sobą nie weźmie?

Wacław.

Zostaniesz przy dzieciach, bądź wiernym i czujnym; — idź (*służący wychodzi, Wacław zbliża się do stołu i zakrywa kubki serwetą.*) Czekam cię teraz, mój gościu: — igrałeś z mojém szczęściem, ja teraz poigram z twojém życiem, — a może i ze swojém, — mniéjsza o to. — Ten sam los, który w kolébkę twoję włożył miliony, niech kieruje ręką, która wybiérać będzie.

Eliza (*wchodzi.*)

Sam jesteś mój mężu?

Wacław.

Sam, zupełnie sam.

Eliza.

Nie śmiém się do ciebie zbliżyć.

Wacław.

Oddajesz sobie sprawiedliwość.

Eliza.

Byłam winną.

Wacław.

Byłaś!

Eliza.

Byłam; — to chwilowe obłąkanie — wiérz mi!

WACŁAW.

Wiara, Elizo, jest jak honor, jak życie; —raz tylko stracić ją można.

ELIZA.

Więc już niéma dla mnie nadziei.

WACŁAW.

Dla mnie niéma; — dla ciebie jest jeszcze.

ELIZA.

Bez twojego szacunku?

WACŁAW.

Może nawet bez szacunku Hrabiego, ale w jego objęciu.

ELIZA.

O! jakżem nieszczęśliwa!

WACŁAW.

A ja?—chociażbyś mogła do mnie należeć, któż mi odda szacunek twojego serca? — Zapomniałaś Elizo, że to jest najdroższy skarb, najkosztowniéjszy posąg, który żona przynosi mężowi. — Któż mi odda wiarę w twoję cnotę, kiedy dla płochego wielbiciela, co się kłaniał twoim wdziękom, rozdarłaś serce męża, który czcił twoję duszę.

ELIZA.

Nie obaczę go więcéj. — (*Hrabia wchodzi.*)

WACŁAW.

Oto jest: — nie jesteś moją.

ELIZA.

Wolę umrzéć!

WACŁAW.

Chodź, chodź Hrabio, dziękuje ci, żeś dotrzymał słowa. (*idzie do drzwi i zamyka na klucz*). — Pomówcie z sobą, ja jeszcze pójdę dzieci obaczę. (*wychodzi.*)

HRABIA.

Co on ci mówił, Elizo!

ELIZA.

Co był powinien, opuść mię, odéjdź!

HRABIA.

Masz już miészkanie w klasztorze, póki nie nastąpi rozwód.

ELIZA (*z przerażeniem.*)

Rozwód!

HRABIA.

On na wszystko zezwala.

ELIZA.

O jak mi się w głowie miesza! (*pada na krzesło.*)

HRABIA.

Miéj litość nademną!

WACŁAW (*wchodzi szybko.*)

Okropny, rozdziérający widok! śpią, śpią tak cicho, jak gdyby aniołowie trzymali nad niémi opiekuńcze dłonie! na ich czole jasném pogoda i pokój, na ich licu kwitnącém rumiéniec zdrowia i życia, na ich ustach różowych uśmiéch niewinności. — O zwodzicielu, gotuj się, bo jeden z nas stąd nie wyjdzie.

HRABIA.

Jestem gotów, ale dla czego zmiéniasz układy?

WACŁAW.

Wiedziałżeś z kim miałeś do czynienia? więc, żem w milczeniu znosił twoje zabiegi, myślałeś, że sobie dam wydrzéć tę, która była dla mnie życiem, światłem, jedyném dobrem.— Znaleziony na ulicy, miłosierną ręką przygarnięty, nie znałem głosu ojca, uśmiéchu matki, pieszczot siostry;—

kochałem ją przywiązaniem dziecka, przyjaźnią brata, miłością kochanka i męża. – A tyś chciał, abym ci ją oddał za pieniądze? – Weźmiesz ją, ponieważ cię kocha, ale wraz z mojém życiem, – Elizo! dokonaj coś zaczęła. – W téj chwili obchodzi się razem dwa święta: – rozwód i ślub. (odkrywa kubki.) Oto uczta, badź jéj gospodynią! w jednym z tych kubków jest trucizna, – wybiéraj, niech serce twoje kieruje twą ręką: – może wybierzesz dla mnie.

ELIZA.

Zabij mię.

WACŁAW.

Nie wahaj się, to musi nastąpić: – jesteście jeszcze w moim domu, ja tu jestem panem, i żadna siła z mojéj władzy was nie wydrze.

HRABIA.

Tracisz rozum! Powiedziałem ci, żem gotów: – po co ją miészasz do sprawy, która między nami dwoma skończyć się powinna. Chcesz? – zgoda: – wybiéraj broń.

WACŁAW.

To moja broń (wskazuje na kubki.)

HRABIA (chwyta jeden i pije – Eliza wydaje krzyk, wyciąga rękę, chce zatrzymać rękę Wacława, traci siły i pada na kolana.)

WACŁAW.

Teraz na mnie koléj. (wypija.)

(Hrabia i Wacław patrzą długo na siebie w milczeniu, Eliza modli się i niekiedy z przerażeniem na jednego i drugiego pogląda.)

HRABIA (poważnie.)

Chciałeś, stało się: – któremuż z nas śmierć przeznaczona?

WACŁAW.

Nie wiém.

HRABIA.

Podaj mi rękę Wacławie – Zbiegliśmy się w jednėm uczuciu, nie rozstawajmy się jak nieprzyjaciele: – jeżelim ja śmierć połknął, niech twoja nienawiść nie towarzyszy mi za grobem.

WACŁAW.

Jeżeli ja umrę, pragnę ponieść do grobu twój szacunek – Oto twój zapis (rozdziéra go.) Nie chcę, abyś myślał, żem był w stanie przedać honor żony; żem mógł pragnąć, aby dzieci moje były bogatémi hańbą swéj matki. – Przebacz mi, ona warta, aby ta chwila była dla jednego z nas ostatnią.

HRABIA.

Daj mi pióra i papiéru Wacławie: – los dał mi czém rozporządzać.

WACŁAW.

Będziesz miał dość czasu. – Ja to podobno idę przed sąd tego, co widział moję boleść. – Oh! (pada na krzesło.)

ELIZA (zrywa się.)

Wacławie, Wacławie, coś ty uczynił?

WACŁAW.

Elizo! o jakże ciężko rozstawać się z tobą: – maszże ty odwagę? – tu jest jeszcze (podaje truciznę.) (Eliza porywa ją i wypija.)

HRABIA (chciał ją wstrzymać z rozpaczą.)

Zapoźno!

ELIZA.

Dziękuję ci Wacławie, żeś uwierzył w mą cnotę.

HRABIA (ponuro.)

Do tegoż więc przyszło! i ja jestem waszym zabójcą. – O przeklęta godzino!

WACŁAW [przyciska jéj rękę do piersi.]

Bądź zdrów Hrabio; nie sprawiłeś tyle złego, ilem rozumiał. [kona.]

ELIZA.

Skończyłeś! – pokój twojéj duszy! – wkrótce pojdę za tobą – żona dopełniła swéj powinności; teraz koléj na matkę. – Henryku! nie patrz tak okropnie. – Także to straszne dzieło, aby tobie, mężczyźnie, odbiérało odwagę, gdy tyle powinności przed tobą? – Henryku! kochałam cię! w téj uroczystéj chwili ci to wyznaję: – oto moja ręka Henryku! [całuje go.] – To uściśnienie twéj żony; a tam, twoje dzieci! [pada na kolana przy zwłokach męża.]

HRABIA.

Tam moje dzieci!

BRZOZA I ŹRÓDŁO.

Brzózko w zielonym zawoju,
Co tam w twoim gra warkoczu?
Źwierciadlany, czysty zdroju,
Co tam patrzy z twoich oczu?
  Myślałem, o drzewko, krasne!
  Że to brzęczy, głos miłego.
  Myślałem, o źródło, jasne!
  Że to błyszczy oko jego.
Brzózko w zielonym zawoju,
Wiater gra ci po warkoczu;
Źwierciadlany, czysty zdroju,
Gwiazda patrzy z twoich oczu.
  Nie! to on, to on, daleko!
  Spomniał sobie że tu miła,
  I swoje oczy, tą rzéką,
  Serce, wiatrem tym przysyła.
Brzózko w zielonym zawoju,
Trzymaj wietrzyk ten w warkoczu;
Źwierciadlany, czysty zdroju,
Nie wypędzaj gwiazdy z oczu,
  Bo co noc wiernie i skrycie
  Biédna przyjdzie tu dziewczyna,
  I spyta, a wy powiécie:
  Żyje, żyje, i spomina.

W KRAKOWIE, CZIONKAMI JÓZEFA CZECHA.